Cena 18 fen. = 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Szl., 1-go Stycznia 1896. Nr. 1.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Lecz nie te wszystkie zalety i przymioty nakłaniały najsilniej serce pana Wojciecha do tego świetnego młodzieńca; stary szlachcic pokochał go niemal jak syna (zapominając nawet, że jako wróg napadł dom jego) głównie dla tego, że piękny panicz czcił i kochał nawzajem pana Wojciecha, jak ojca rodzonego. Starzec zaś odczuwał tę cześć, uwielbienie, podziw i głębokie przywiązanie, które mu zresztą jego ulubieniec na każdym kroku okazywał.

Pan Marek sam się dziwił tym uczuciom, nie rozumiał dla czego tak kocha i szanuje tego człowieka, który był przecież ojcem Adama, łotra z pod ciemnej gwiazdy, jak w myśli nazywał niewinnego rotmistrza. Prawdopodobnie zaś pochodziło to przywiązanie i ten szacunek ztąd, że pan Siekierzyński nie pamiętał wcale swojego rodzica, że dotąd nie zetknął się bliżej z mężem prawdziwe cnoty posiadającym. Obcując ze Zborowskiemi, czuł pan Marek mimo ich pięknych słówek, że nie poczynają sobie tak, jak na prawego człowieka i obywatela przystało; że zawsze cnotliwem nazywali to, co im było dogodne, że siebie na pierwszem miejscu po nad wszystko stawiali. Pan Wisłocki natomiast trzymał się ściśle przykazań Bożych, do nich swe życie i sprawy stósował, a lubo ród swój kochał gorąco i był niezmiernie na niego dumny, to przecież po nad dobro swego domu stawiał dobro powszechne; i gdyby wyniesienie jego rodziny miało było przynieść jakiś uszczerbek krajowi, byłby wolał, aby ród jego zginął, dom rozsypał się w gruzy, niżby Ojczyznę dotknęła jakakolwiek krzywda.

Te to wielkie cnoty, to zapomnienie o sobie dla dobra braci, to rządzenie się zawsze sumieniem i miłością budziły w panu Marku podziw, cześć i przywiązanie dla zacnego starca, bo cnota ma to do siebie, że każdy musi przed nią czołem uderzyć. Stary rycerz zaś widząc jaki ma wpływ na świetnego młodzieńca, lgnął do niego mimo woli

całem sercem, aż go wreszcie niezmiernie pokochał.

Wobec tego najmilszą, choć starannie ukrywaną, była panu Wojciechowi myśl wydania za swego ulubieńca Bożeny. A nie sądził wcale, aby córka jego była nieodpowiednią żoną dla pana Siekierzyńskiego: urodzeniem bowiem mu wyrównywała, piękną była tak niezwykle, że może jak Polska długa i szeroka nie było drugiej równie urodziwej panny; wychowanie i wykształcenie odebrała też, jak na owe czasy, świetne, a odpowiadające wychowaniu panicza; największa pono była różnica w fortunie, choć właściwie Bożena nie była wcale biedną, a już o wiele bogatszą od swego brata; miała ona bowiem prawo do połowy Wisłocka, niewielkiego wprawdzie majątku, ale za to śliczny, doskonale zagospodarowany majątek ciotki Anny, owe Olechowce na Podolu, Bożenie były zapisane. Panna Anna Wisłocka trzymając do chrztu jedynaczkę swego brata, jej całe dobra zapisała; a otrzymała je kiedyś również od swej matki chrzestnej, dalekiej krewnej.

— Bożenka będzie po mnie Olechowce dziedziczyć — mówiła stara panna do brata. — Co wszelako nie ma wcale znaczyć, jakobym Adama mniej kochała. Owszem jest on mi bardzo drogi; sądzę też, że mnie zrozumie i tego mi również za złe nie weźmie, iż wszystką gotówkę, jaką posiadam, dostanie Bożenka w dzień swego ślubu. Adam, jako mąż, może się wszystkiego dobić: znaczenia, fortuny, zaszczytów, dostojeństw, nawet żony bogatej; a dziewka zaś, jak biedna!... Sam to wiesz najlepiej, miły bracie, że choćby też archanielskie miała cnoty i cherubina lice, na koszu osiędzie, gdy mieszek ma pusty... Taka już niesprawiedliwość dla dziewek na świecie!

Pan Wojciech nie koniecznie przyznawał słuszność, bo pamiętał, że sam nie oglądał się za mieszkiem swej śp. ślicznej żony, że cnoty jej i uroda wszystko mu zastąpiły. Jednakże ze swojem zdaniem się nie wyrywał, bo wiedział, że panna siostra tak mówi, ze siebie miarkując. Bo to przecie i panna Anna słynęła kiedyś z przecudnej buzi, lecz konkurentów doczekała się dopiero w pięćdziesiątej wiośnie; właśnie na drugi dzień po otwarciu testamentu zmarłej swej chrzestnej. Zresztą myślał sobie, że stara panna dobrze uczyniła, zapisując wszystko Bożenie i głośno mówiąc, że skoro chrześniaczka pójdzie za mąż, to ona chrzestna osiędzie na dewocyi przy jakim klasztorze, a Olechowce odda młodej pani; dalej myślał sobie pan Wojciech, że Adam nie zostanie tak dalece skrzywdzony, bo istotnie dosługiwać może się wszystkiego, a żonę już mu ojciec wyszukał bogatą, podczas gdy dla córki, nie wiedział czy znajdzie bogatego męża.

Rozważywszy tak wszystko, powiedział sobie stary rycerz, że Bożena z panem Markiem jak wraz są stworzeni dla siebie; jednego tylko nie był pewien, czy się młoda para zechce, bo żadną miarą nie mógł się połapać w uczuciach młodych ludzi. Pan Siekierzyński lubił widocznie Bożenę bez miary, szukał jej towarzystwa i całe godziny na rozmowie z nią przepędzał; ale czasem znowu urywał nagle rozmowę, dziwnym, jakby rozpaczliwym wzrokiem spoglądał na śliczną panienkę, wstrząsał się cały i uciekał od niej, po to tylko, aby niebawem wrócić; czasem też bywał wesoły i ochoczy aż do pustoty, to znowu, ni ztąd ni zowąd ponury jak noc.

Mimo zaś wszystkich zmian usposobienia nie sporo mu było wyjechać z Wisłocka. Gdy przyszedłszy nieco do sił, wybierał się w drogę, pan Wojciech zrobił uwagę, że daleka podróż bardzo osłabionemu zaszkodzić może, aby tedy pozostał tak długo, dopóki do zupełnego zdrowia nie wróci. Pan Marek przyjął wdzięcznie to wezwanie, mówiąc, że ciało jak ciało, ale dusza jeszcze w nim nie wydobrzała, pod wpływem pana Wojciecha i jego nadobnej córki, zaczęła do zdrowia przychodzić.

— Tedy siedź, wasza mość, dopóki na ciele i na duszy nie wydobrzejesz i nie umocnisz się, abyś zaś w gorszą,

dla obojga nie zapadł chorobę — odparł pan Wojciech i odtąd mowy o odjeździe nie było.

Pan Siekierzyński czuł rzeczywiście, że w Wisłocku wraca do równowagi, ujrzał w jasnem a prawdziwem świetle niecne postępowanie Zborowskich, gdy je do cnót starego szlachcica przyłożył; i jak to najczęściej bywa, cnota odniosła zwycięstwo, bo młodzieniec postanowił stanowczo z wichrzycielami zerwać. Nie chcąc zaś do nich wracać, niemiło mu też było jechać do Siekierzan, gdzie każdy kąt przywodził na pamięć piękną sierotę; jej to obraz niezatarty w duszy pana Marka sprowadzał swe nagłe zmiany usposobienia. Niekiedy bowiem w obecności Bożeny, pod urokiem jej rozmowy, słodyczy i dobroci, zapominał o swojem strapieniu, gdy nagle jakieś nieznaczne słówko, lub wspomnienie przypominały mu Ludkę i szarpały sercem, sprowadzały chmury na czoło i oddalały od Bożeny.

Jeszcze więcej, niż tego dziwnego zachowania się pięknego panicza, nie rozumiał stary rycerz swej ślicznej córki. Jedno tylko widział wyraźnie, że od niejakiego czasu wypiękniała ona jeszcze; oczy jej błyszczały niezwykłym blaskiem, a choć zawsze była dobrą i miłosierną, to teraz już wcale patrzeć nie mogła na niedolę ludzką, nie było ofiary, którejby nie uczyniła, byle tylko drugim dobrze czynić, byle innym umniejszyć cierpienia; zdawało się, jakby nieprzebrany zdrój miłości, dobroci i litości wytrysnął w jej duszy, która nie mogąc go objąć, na zewnątrz wylewała szlachetne, przepiękne uczucia, zamienione w zacne czyny. Czasami była przy tem wesoła jak ptaszek, szczebiotała, śpiewała i pieściła ojca, to znowu bywały dni, w których popadała w głęboki smutek, albo też w sztuczną, przymuszaną wesołość. Pan Wojciech widział, że się coś niezwykłego dzieje w duszy jego dziecka, ale co nie wiedział, domyślał się, że to miłość opanowała młode serce, lecz i to przypuszczenie nie tłumaczyło zachowania się dziwnego Bożeny.

I nie mógł też stary ojciec pojąć i zrozumieć, co się dzieje z ukochaną jedynaczką, nie wiedząc tego wszystkiego, co ona myśli o panu Marku. Bożena bowiem całem swem szlachetnem sercem przywiązała się do urodziwego panicza, a miłość ta była tak wielka, czysta i silna, jak to bywa miłość pierwsza i ostatnia, to jest jedyna w życiu. Świat pojaśniał dziewczęciu w oczach, wszyscy ludzie wydali jej się braćmi, serce przepełnione miała miłością, więc pragnęła wszystkich objąć w ramiona, szczęście zalewające jej duszę podzielić z tymi, którym los odmówił miłości, tego najwyższego, po c n o c i e, dobra na tej nędznej ziemi. Ale gdy pomyślała, że ten ukochany oddał serce innej kobiecie, i jej nie odpłaci nigdy równem przywiązaniem, wtedy smutek bezbrzeżny obejmował ją jak żałobnym całunem; ale broniła mu się, mówiąc sobie, że choć nie kochana, ona będzie kochała i nietylko tego wybranego, ale ludzkość całą, a mianowicie biednych i nieszczęśliwych; obiecywała sobie, że w pracy, obowiązku, dobrych uczynkach i poświęceniu znajdzie uspokojenie; czasami jednak oburzało się serce na ten los, tak ciężki: czuła się młodą, pełną sił i życia, gotową do ofiar i poświęceń, lecz spragnioną przywiązania; a tu całe życie nic, tylko praca i obowiązek? Więc się gniewała na własne serce, że taki wybór zrobiło, że pokochało tego, który jej kochać nie mógł, chciała wyrzucić z serca to przywiązanie, które mimowoli się tam zakradło, borykała się z miłością i wmawiała w siebie, że ją opanuje i z serca wyrzuci i wtedy to siliła się na wesołość i swobodę, których w duszy nie było.

Tymczasem dni i tygodnie upływały, a pan Marek nie odjeżdżał; więc czasem maleńki promyczek nadziei wciskał się do serca Bożeny. Młody panicz zaś zachęcony przez pana Wojciecha został chętnie, bo oprócz przykrości, jaką uczuwał na myśl powrotu do opustoszałego domu, pragnął jeszcze doczekać końca wojny i rozprawić się z panem Adamem; poczem dopiero postanowił zakopać się na Podolu i nie my-

śleć ani o polityce, ani o Zborowskich, tylko wyruszyć na Dzikie pola, na harce z Tatarami. Zborowscy zaś mieli go zrazu za umarłego, ale dowiedziawszy się, że żyje i jest w domu pana Wisłockiego, wyprawili do kochanego kuzyna czemprędzej list, zapraszając go usilnie do siebie i upominając, aby bezwłocznie porzucił dom tego zakamieniałego Zamojszczyka, jak pana Wojciecha nazywali. Ale pan Marek, który już był cały pod wpływem szlachetnego starca, odpisał, że dwoma przebytemi chorobami, jako też tem, co się w kraju dzieje, czuje się bardzo znużony, znękany i zniechęcony, że przeto postanowił usunąć się z życia publicznego w zacisze domowe, że skoro siły odzyska uda się na Podole, i tam wśród piękności natury, będzie leczył swoją zbolałą i zaniepokojoną duszę, tym srogim krwi bratniej rozlewem, do którego i on się niebacznie przyczynił; z całego zaś listu można było widzieć wyraźnie, iż raz na zawsze zrywa z przyjaciółmi młodości. Pan Andrzej nie dał jednak za wygraną: napisał zaraz list drugi, a w nim potrącił o tę strunę, na której grał zawsze, gdy chodziło o utrzymanie kochanego kuzyna przy sobie. Dał mu więc delikatnie do zrozumienia jak nieszlachetnie jest opuszczać przyjaciół i krewnych w chwili, gdy im ciężkie grożą ciosy. Ponieważ jednak było to jeszcze na kilka dni przed przybyciem króla Zygmunta do Krakowa, przeto pan Marek odpisał jeszcze delikatniej, dając panu Andrzejowi do zrozumienia, że nic dotąd nie stracone, bo być bardzo może, iż nie Zygmunt, ale właśnie Maksymilian zasiądzie na tronie, więc panowie Zborowscy wysoko pójdą w górę. On przecież, cokolwiek się stanie, jednego tylko pragnie, to jest spokoju, a o polityce, mianowicie o takiej, która wiedzie Ojczyznę do zguby, nic nie chce wiedzieć.

Pan Andrzej otrzymawszy ten list, poszarpał go na drobne kawałki i na ziemię cisnął, krzycząc:

— Już tam ten stary dziad, ten lokaj kanclerski przekabacił na swoją stronę głupiego Marka! Ale dajże Boże zasiąść jeno na tronie Maksymilianowi!... Oj, zalejemy sadła i kochanemu kuzykowi, który się nagle zrobił taki czuły na krwi rozlanie i temu staremu uwodzicielowi, jako też synowi jego, temu chłystkowi, co to został rotmistrzem, za to, że się nad Dniestrem z chłopami bratał!

Wylawszy tak swą żółć, nie zgłaszał się Zborowski więcej do pana Marka, a w Wisłocku wnet też zapomniano o nim; ważniejsze sprawy zajmowały teraz wszystkie umysły. Jak w całym kraju, tak i w drewnianym dworcu pana Wojciecha wyglądano z niecierpliwością i pewną obawą wieści z pola bitwy.

Pewnego wieczora siedział stary rycerz w towarzystwie córki i pana Marka przed kominem, buchającym wielkim ogniem i rozprawiał o ucieczce Maksymiliana na Szląsk, zgadując czy też Zamojski tam za nim pójdzie, lub nie. Wtem wszedł do pokoju dworzanin i oświadczywszy, iż przybył goniec z pod Byczyny, oddał duży list panu Wojciechowi. Ten spojrzał na pieczątki i zatrząsł się cały i ledwo zdołał wykrztusić:

— Pieczęcie kanclerza!... Dla Boga! Cóż to jest?

Drżącą ręką otworzył list, ale skoro pierwsze wiersze przeczytał, twarz mu się rozjaśniła i krzyknął rozradowanym głosem:

— Zwycięztwo! Maksymilian zniesion pod Byczyną, schronił się do twierdzy, ale myśli o poddaniu się, a hetman o szturmie.

I czytał dalej, lecz w miarę czytania, twarz starca stawała się coraz bledszą, potem zdziwienie odbiło się na niej; ale nic nie mówił, dopiero skończywszy list, pomyślał chwilę i rzekł:

— Adam ranny... lecz nieszkodliwie; natomiast Gabryel Hołubek niebezpiecznie postrzelon. Obaj proszą, abyśmy niezwłocznie przyjechali... i hetman ze swej strony bardzo o przyjazd nalega... Co to może być? Bo i waszmość, panie Marku, jesteś także o przyjazd proszony... i to koniecznie...



WŚRÓD ŚNIEŻNEJ ZAMIECI.

— Ja? Ja mam jechać do Byczyny? — spytał zdziwiony młodzieniec.

— Tak jest. Ważne są ku temu powody... tak przynajmniej hetman pisze.

Pan Siekierzyński nic już nie mówił, gdyż nagle pomyślał sobie, że to może właśnie Adam jest śmiertelnie raniony, więc tak pilnie wzywa ojca,siostry i jego, po to, aby mu nieszczęśliwą Ludkę polecić i może błagać o przebaczenie... Bo inaczej pocóżby jego, pana Marka, wzywał? Uczuł w sercu głębokie współczucie dla biednego ojca, który nie wie, jaki go cios czeka, więc spojrzał na starego rycerza, a potem na Bożenę; lecz aż się przeląkł zmianą jaka zaszła na jej twarzy.

Bożena jedna zgadywała prawdę: domyślała się, że tam przy łożu chorych mają się rozegrać losy ukochanego brata, serdecznie ulubionej bratowej; a jakiś głos w głębi duszy szeptał, że i jej samej. Pod silnem wrażeniem tych myśli siedziała jak martwa, aż i ojciec spostrzegł śmiertelną bladość córki; chwycił więc ją za rękę i rzekł uspokajająco:

— Odwagi, moje dziecię! Pan Zamojski wyraźnie pisze, że Adam nieznaczną tylko odniósł ranę... A i ten zacny Hołubek, twój obrońca, któremu wdzięcznym będę póki życia, jest zraniony... wprawdzie ciężko, ale medycy nie tracą nadziei.

Bożena zebrała wszystkie siły, starając się zapanować nad sobą, aby rodzica nie niepokoić; odpowiedziała też słów kilka dość pewnym głosem, ale gdy pan Wojciech oświadczył, że nazajutrz rano ruszą do Byczyny, Bożena pod pozorem czynienia przygotowań do drogi, szybko opuściła komnatę.

Tego samego wieczora odebrała list hetmański i pani Adamowa; chociaż pan Zamojski pisał, że jest nadzieja utrzymania Gabryela przy życiu, a o zranieniu pana Adama nic nie wspomniał, przecież Ludka doznała takiego wrażenia, jakby młyński kamień przytłoczył jej piersi; nie mogła wcale płakać, nie uroniła ani jednej łzy, bo jakaś żelazna ręka ścisnęła jej serce i gardło i nie puszczała z uścisku. Ludmiła była jakby odurzona nieszczęściem; mimo to nie tracąc chwili czasu, rozporządziła wszystko w domu, powierzając go matce Maryśki, następnie zawezwała starego czeladnika, który jeszcze u jej rodziców służył, i poleciła mu, aby kazał okulbaczyć dwa konie, a sam się wybrał do podróży. Poczem przywdziawszy szybko swoje męzkie ubranie, pożegnała czeladkę, dosiadła konia, stary sługa wsiadł na drugiego i na całą noc ruszyli w drogę.

Dzień 27-go Stycznia 1588 roku zajaśniał słońcem i śliczną pogodą; a był też jednym z najpiękniejszych dni w życiu wielkiego hetmana. Tego dnia arcyksiążę Maksymilian przerażony poniesioną w walnej bitwie klęską, zagrożony szturmem, który Zamojski miał przypuścić do Byczyny, poddał się swemu zwycięscy. Skoro bowiem spostrzeżono we fortecy, że wielki hetman nie żartuje, że już się zabiera do zupełnego zgniecenia wojsk austryackich, wtedy Maksymilian przysłał do kanclerza z oznajmieniem, że chce się poddać i żąda podyktowania warunków, na jakich owo poddanie ma nastąpić. Zamojski jak stał na czele swoich zwycięskich zastępów, wydobył kawałek papieru i ołówek a skreśliwszy wszystko, czego żądał, posłał ów świstek arcyksięciu. Ten wobec grozy nowych zapasów, zgodził się na spisane warunki i poszedł w niewolę. Razem z Maksymilianem poddali się wszyscy znaczniejsi jego stronnicy: więc Zborowscy, Górka, Pękosławski, Woroniecki; sam tylko djabeł Stadnicki się wymknął i uszedł niepostrzeżenie.

Zamojski z uszanowaniem, winnem monarsze, przyjął arcyksięcia; nie chciał nawet przy jednym stole zasiąść z nim do wieczerzy, okazując swemu jeńcowi wszelkie możliwe względy, gdyż jako mąż prawdziwie wielki, umiał i nieprzyjaciele szanować w nieszczęściu. Następnie w zamkniętej kolasie pod silną strażą, wysłał dostojnego więźnia do Krasnego-Stawu, miejsca obronnego, le-

żącego w pobliżu Zamościa swej rezydencyi.

Był to więc dzień wielkiego dla hetmana tryumfu i radości. Oto monarcha przez niego popierany zasiadł nietylko na tronie, ale został na nim utwierdzony, panowanie jego zapewnione; przeciwnicy aż do arcyksięcia wszyscy w niewoli, wojna domowa, przelew krwi bratniej ukończone; niebawem gwałty i bezprawia zostaną powściągnięte, krzywdziciele ukarani; prawo, pokój i bezpieczeństwo zapanują w kraju, Ojczyzna, matka swobodnie odetchnie i byle tylko chcieli jej synowie, wznosić się może do coraz większej chwały i potęgi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O PÓŁNOCY.

Gdy północ ostatnią bić zaczną zegary,
Kij bierze podróżny zgrzybiały Rok stary
I budzi śpiącego młodziana:
»Wstań« rzecze »mój synu, i czuwaj przytomnie,
Bo rządy nad światem sprawować masz po mnie,
Gdy zorza zabłyśnie porana.

Syt sławy i troski, strudzony odchodzę;
Ziarn wiele najlepszych rozsiałem po drodze,
Ty, synu, miej pieczę nad niemi!
Patrz, aby z posiewu miłości i zgody
Obfity plon rychło zebrały narody —
Za rządów twych jeszcze na ziemi!

Gdzieś w dali dmą wichry i burza się sroży —
Zażegnaj ją, synu, przebłagaj gniew Boży,
Co zsyła na świat nasz te klęski;
Bo lepszą oliwna gałązka pokoju
Niż wawrzyn skrwawiony zdobyty gdzieś w boju,
Miecz rdzawy — niż oręż zwycięzki.

Niech będzie na ziemi i jaśniej i lepiej;
Cierpiący niech wytchną a przejrzą niech ślepi,
Niech prawdą świat stoi i pracą!
Wiedź ludzkość do celu drogami prawemi,
A prędzej, czy później, bądź pewny, na ziemi
Wdzięczności dług tobie wypłacą!...

I cicho, bez śladu, jak duch, co odlata,
Znikł starzec strudzony na zawsze ze świata,
A wielu-ż go z żalem żegnało?
Lecz kiedyś, po latach, gdy wspomnim znów [o nim,
To, starce my sami, łzę żalu uronim
Im dawniej — tem lepiej bywało!

KAWA.

Chcielibyśmy pomówić o pokarmach używanych przez ludzi zwyczajnie. A więc nie będziemy mówić o pokarmach bogaczy, którzy mają żołądek wiecznie zepsuty i szukają pokarmów łechcących podniebienie, ani o pokarmach ubogich, którzy muszą jeść cokolwiek dostaną, aby zapełnić próżny żołądek. Pomówimy o pokarmach, jakich używają ludzie stanów średnich, o pokarmach, jakich potrzebuje silny robotnik, który potrzebuje siły do pracy, aby wyżywić siebie i rodzinę, o pokarmach, jakie warzy dobra gospodyni dbająca o zdrowe i smaczne wyżywienie męża i dzieci. Pomówimy o pokarmach jakie przychodzą na stół w zwyczajnych domach od rana do wieczora.

Najpierw zwyczajnie piją wszyscy rano kawę i pożywają do tego chleb lub bułkę. Nikt się nie zastanowi nad tem, czy kawa karmi, czy jest pokarmem? czy jest tylko napojem, aby pragnienie zaspokoić? czy jest tylko na to, aby się rozgrzać? Czy jest korzeniem? Czy jest medycyną? Czy może jest trucizną powolną? Pije się kawę, bo taki zwyczaj, bo smakuje.

Uczeni też nie odpowiadają zgodnie co do kawy na pytania wyżej postawione.

Chemia jest nauką i sztuką, która wszystko rozłoży z czego się co składa na najdrobniejsze części, których okiem dostrzedz nie można. Badano kawę chemicznie i przekonano się, że zawiera najpierw wiele kofeiny, tj. materyi, która się znajduje tylko w kawie, i zawiera w sobie wiele gaśniku. Tę samą materyą znaleziono w herbacie i nażwano teiną. W nowszych czasach znaleziono tę samę materyę w Afryce zachodniej w orzechu Kola, który to orzech sobie bardzo cenią mieszkańcy tychże okolic afrykańskich. Ponieważ miliony ludzi chętnie używa kawy, herbaty, orzechu kola, i ponieważ te owoce jednę mają naturę, jednego gatunku zawierają materyą, to jest dowodem, że kofeina czy teina jest ludziom przyjemna. Co czyni kawę przyjemną? Jedni powiadają, że jest tak przyjemną, jak korzenie, drudzy, że jest medycyną.

Korzeniem jest kawa o tyle, że sprawia, iż żołądek wydziela ze siebie więcej soku. Żołądek tylko wtenczas trawi, jeżeli ściany żołądka wlewają do jego wnętrza sok, który ma tę własność, że źre pokarmy i rozkłada takowe na pojedyńcze części, z których się składają. Dla tego bogaci, którzy wiele i dobrze jedzą, piją kawę zaraz po obiedzie na strawienie. W nocy człowiek słabiej trawi. Dla tego źle się śpi, jeżeli się na wieczerzę jadło wiele lub pokarmy ciężko strawne. Ponieważ nad ranem mianowicie żołądek jest nieczynny, dla tego kawa rano ożywia żołądek, pobudza do życia, drażni żołądek, który zaczyna wydzielać ów sok trawiący. Zwykle ma się po kawie więcej apetytu,



DOBRA GOSPOSIA.

chęci do jedzenia aniżeli przedtem. Takie ma znaczenie kawa pod względem korzennym.

Potem przypisują kawie przymioty lekarskie, ponieważ działa na nerwy, na których polega działanie ducha. Znaną jest rzeczą, że kawa ożywia znużonego, odpędza sen. Kto pije mocną kawę może się długo obyć bez snu. Kto chce nocą duchowo pracować, pisać, uczyć się, ten pije kawę i jest orzeźwionym na ciele i na duchu, zdolnym do pracy duchowej. Kto to zbyt często czyni, ten się w końcu osłabi na ciele i na duchu. Kawa działa podobnie jak wino i ożywia rozmowę w towarzystwie, mianowicie u kobiet, które się chętnie zgromadzają przy kawie. Przed kawą siedzą spokojnie, mało mówią, skoro tylko napiją się kawy, powstaje gwar, nie tylko języki się rozwięzują, lecz ręce, oczy, całe ciało ożywia się.

Duch nocą odpoczywa, lecz rano jeszcze czuje się sennym, dla tego kawa pobudzając nerwy, pobudza i ducha do działania, czyni go zdolnym do pracy dziennej. Pewien uczony powiada, że dziś dla tego piją więcej kawy aniżeli dawniej, ponieważ dziś potrzeba do życia, interesów, czytania i t. d. więcej ducha ożywionego. Nerwy więcej pracują, to też potrzebują ożywienia. Życie dziś różnorodne, niespokojne, o niepokoju dzisiejszym dawniej nie myślano, żyli ludzie spokojnie.

Czy kawa jest szkodliwą czy pożyteczną, o tem też różni różnie mówią. Ponieważ kawa działa na nerwy, dla tego jest więcej szkodliwą, jeżeli jej się nie używa jako medycynę,

lecz ciągle. Ludzie w naszych czasach są po części może dla tego zbyt nerwowi, ponieważ wszyscy kawę piją. Ludziom powolnym, flegmatycznym, kawa mniej szkodzi. Ludziom żywym bardzo szkodzi. Dzieciom żywego usposobienia nie trzeba dawać kawy. Ludzie ubożsi dodają do kawy cykoryi, która nie jest wprost trucizną, lecz dobrą rzeczą nie jest. Natomiast dobrze jest dodawać do kawy cukru i mleka, ponieważ to są rzeczy pożywne. Kawa nie ma pożywnych części w sobie żadnych. W mleku są te same części co we krwi, a cukier przemienia się w ciele na te części, które są koniecznie do życia potrzebne. Ponieważ człowiek w nocy nic nie je, i ponieważ krew traci przez oddychanie, pot, wapory, dla tego rano trzeba ciału dać coś pożywnego. Sama kawa nie ma nic pożywnego, dla tego trzeba mleka, cukru, chleba, masła. Nic złego, że dzieci lubią słodką kawę. Cukier orzeźwia puls u dzieci, wzmacnia oddech, ułatwia to, że pokarmy przemieniają się w ciało. U starszych cukier wyrabia się z mączki, jaka się znajduje w pokarmach. Lecz do tego muszą być czynne organa ciała. Dla tego ułatwia się dzieciom sprawę dając im gotowy cukier. Ludzi ubogich dzieci chorują n. p. na angielską chorobę dla tego, ponieważ jedzą wiele chleba i ziemniaków. Ponieważ dzieci mają słaby żołądek, dla tego mączka w tychże pokarmach się znajdująca nie przemienia się w cukier, mączka pozostaje niestrawiona w żołądku, obciąża żołądek, dzieci chorują, chudną i popadają w różne choroby.

Kto pije zaraz po dobrym obiedzie kawę, ten niech nie używa ani cukru, ani mleka, ponieważ ma dosyć pożywienia, owszem dodając więcej, szkodzi sobie.

Dobrze jest rano przy kawie jeść pieczywo pszenne, ponieważ jest pożywniejsze a łatwiej do strawienia. Od rana nie trzeba żołądkowi dawać zbyt wiele pracy.

Zaniedbane źródło pożywienia i zysku.

Każdemu człowiekowi, żyjącemu na tym świecie, najpotrzebniejszem jest zdrowie. O tem wie każdy. Ale najlepsze zdrowie winien mieć ten, kto musi ciężką pracą zarabiać na wyżywienie siebie z rodziną. Jeżeli taki człowiek straci zdrowie, to i on i ci, których utrzymuje, stracą kawałek chleba i będą cierpieli biedę.

Do utrzymania zaś zdrowia w dobrym stanie potrzebne są: wygodne mieszkanie, ciepłe ubranie i obuwie, czystość ciała, a nadewszystko dobre pożywienie; bez tego ani rusz! Choćby kto miał największe wygody, jeżeli się nie będzie dobrze odżywiał — nie będzie miał zdrowia.

A jednak nie zawsze zważamy na to, a zresztą często i trudno zważać, trudno jeść mięso kilka razy na tydzień, gdy się nie ma grosza. »Mam kartofle, to się bez mięsa obejdę«, tak mówi niejeden wieśniak, i zapcha byle czem żołądek, a zdrowia nie posili.

Mamy atoli łatwy sposób na to, aby mieć nawet codzień kawałek mięsa i łyżkę rosołu, chociaż niestety mało kto z tego sposobu korzysta. Cóż to jest za sposób? — zapytacie może. Więc odpowiem wam prosto z mostu: h o d o w l a k r ó l i k ó w.

Któż z was nie zna tych małych stworzonek bożych; podobne one do zająca, tylko mniejsze od niego. Niejeden gospodarz hoduje króliki przez ciekawość lub dla zabawy, lecz nie każdy wie, że można mieć z królików ogromne korzyści tanim kosztem i prawie bez żadnego kłopotu i zachodu. Dużo ludzi nie lubi królików, i gdy taki nieprzyjaciel królików wejdzie do domu gospodarza, który je hoduje, zatyka nos i ucie-

ka coprędzej na dwór nie mogąc znieść brzydkiej woni. Ale przecież temu nie winien królik, lecz gospodarz, który go trzyma w domu, a chlewika nie żałuje, lub nie rozumie, że mieszkać razem z bydlęciem jest stanowczo niezdrowo i brzydko nawet.

Królik zwyczajny jest dosyć mały, i choć tłusty rzadko ma 10 funtów wagi; lecz dorosły królik poprawnej rasy waży 15 funtów. Mięso królicze jest zdrowe, smaczne i bardzo posilne. Można na niem gotować krupnik, barszcz, kapuśniak; można je gotować samo na rosół lub piec, a zawsze jest dobre z wszystkiemi potrawami. Groch naprzykład jest wprawdzie bardzo posilny, ale nie wszyscy ludzie groch lubią, kiedy się zaś groch ugotuje z kawałkiem mięsa króliczego, z cebulką i marchewką, traci wówczas groch smak nieprzyjemny, i staje się smaczną strawą.

Wielka szkoda, że u nas ludzie nie hodują dużo królików, bo ci co nie mają na kupienie funta mięsa, mogliby mieć bardzo tanio smaczne pożywienie.

Króliki są nadzwyczaj płodne. Ludzie, co badali króliki, obliczyli, że z jednej pary będzie ich za rok ze sto, a za cztery lata przeszło milion.

Pewien osadnik przywiózł króliki z Europy do Australii, gdzie te zwierzątka tak się rozmnożyły, że niebawem stały się plagą dla mieszkańców tamtejszych, a kędy przeciągnęły, tam czyniły straszne spustoszenia, i drzewa, zboża, trawy wyniszczyły, że nic po nich nie zostało. Rząd w ciągu czterech lat wydał kilka milionów reńskich na ich tępienie.

Straszne to, ale to nie dla nas. My tylko pożytek z nich mieć możemy a nie szkodę, zechciejmy tylko zająć się ich hodowaniem.

Królik hoduje się łatwiej, niż wszelkie ptactwo domowe, bo mieszka byle gdzie i jada byle co. Pomieszczenia królikom nie trzeba dawać w izbie, bo to nie zdrowo dla ludzi i nie ładnie. Wybrać im trzeba jaki mały chlewik w podwórzu, a ten im wystarczy na lato i zimę.

Jeżeli w chlewiku nie ma podłogi, to króliki wykopią sobie głębokie jamy dla ochrony młodych od zimna, a gdy jest podłoga, to im trzeba obficie dać słomę, a wtedy obejdą się bez jam. Dobrze jest zrobić im w chlewiku dziurę, przez którąby wychodziły na podwórze lub ogródek, gdzie sobie same znajdą większą część pożywienia.

Ale tą dziurą mogą do nich włazić psy i koty i dusić króliki, otóż trzeba psa w dzień trzymać na uwięzi, a na noc zatykać dziury w królikarni; kota zaś jeśli jest stary, uprzątnąć, bo jego się nigdy nie upilnuje, a nabyć młodego kociaka, który się tak z królikami oswoi, ze ich później dusić nie będzie.

Królik je wszystko, co napotka: trawę, liście, rośliny polne i ogrodowe, zboże, ziarno, koniczynę, łubin, kapustę, nać z ogrodowizn, korę z drzewa, a nawet gdy głodny — to zje i stary rzemień.

W zimie można mu dawać sieczkę z otrębami, łupiny z kartofli, marchwi, buraków i t. d. Jednem słowem w gospodarstwie zawsze się znajdzie pożywienie dla nich.

Chcąc hodować króliki, trzeba nabyć jedną parę rasy poprawnej, bo te są większe i tłustsze.

Co do wieku, królik dojrzewa już po 4-ech miesiącach. Wtedy już miewa młode, wtedy też można je już bić na mięso. Prócz mięsa królik ma wiele tłuszczu, który przetopiony może służyć jak smalec na omastę do potraw.

Ze skór króliczych wyrabiają fabryki rękawiczki letnie i zimowe. Skórki te kupują chętnie handlarze, ale mogą się one przydać i w domu. Można bowiem niemi podszyć ubranie, np. dzieciom, i będzie ciepłe, można sobie uszyć rękawice, a gdzieniegdzie robią z nich bardzo ciepłe kożuchy na zimę w ten sposób, że skórki zeszywają i nakrywają je płótnem lub suknem. Tylko trzeba je koniecznie wyprawić, bo bez tego są sztywne i łatwo się łamią. Do wyprawy daje się skórki kuśnierzom lub jakiej fabryce, od biedy jednak może sobie każdy w domu te skórki wypra-

wiać. Wziąwszy garść soli, garść ałunu i garść mąki żytniej, miesza się to razem i tą mieszaniną naciera się mocno skórę, a skórka stanie się miększą. Można też wysmarować ją tłuszczem lub tranem.

Są jeszcze i inne króliki, tak zwane »angorskie,« które mają sierć długą, miękką i błyszczącą jak jedwab. Takie króliki trzeba często czesać gęstym grzebieniem i włosie tym sposobem zebrane sprzedaje się do fabryk kapeluszy. Wyrabiają z tego kapelusze filcowe.

Widzicie więc Czytelnicy, jakie to wielkie pożytki daje ten malutki królik. W krajach zagranicznych wszyscy prawie wieśniacy hodują króliki tak dla mięsa, jak dla skórek i włósia.

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Ciąg dalszy.)

Pan amtman, jak umiał, przekładał kobiecie, że zamilczenie na nic się nie przyda, bo rząd ma niezliczone środki dowiedzenia się prawdy; pocieszał nadzieją, że rząd pruski sprawiedliwy jest i litośny; w tym przypadku z pewnością od zastosowania litery prawa do osoby Ignasia odstąpi. Napróżno! Na wszystkie jego pociechy i napomnienia Jędrzejowa miała jedną jedyną odpowiedź tj. płacz. Pan amtman sam był tym widokiem bezmiernej boleści kobiety, której chciano odjąć skarb jej jedyny na świecie mocno wzruszony. Poznał bezużyteczność wszelkich prób wydobycia z niej prawdy i przestał ją dręczyć. Poprzestano na tem, że zdjęto z Ignasia jak najdokładniejszy rysopis, poczem pan amtman, kładąc rękę na głowę dziecka, rzekł wzruszonym głosem:

— Idźta z Bogiem ludziska i niech was tam Pan Bóg pocieszy.

Już wieś cała we śnie była pogrążona, gdy Jędrzejowa ze śpiącym Ignasiem na ręku, powróciła do domu. Zmęczona była fizycznie i moralnie. Położywszy Ignasia w łóżeczko, padła na kolana przed obrazem Najświętszej Matki Bolesnej, który kupiła na najbliższym odpuście po onym pogrzebie Haźbietki i gorzko zapłakała. Więc miała stracić to jedyne, co po tylu bolesnych stratach posiadała jeszcze na świecie? Miała oddać swego Ignasia gdzieś w świat nieznany i między ludzi nieznanych na pewną zgubę? Tej myśli serce jej i mózg jej objąć nie były zdolne.

— Ty najświętsza Panienko przez swe serce, siedmiu mieczami boleści przeszyte, ratuj mnie, ach! ratuj w mojem sieroctwie — zawołała łkając. I podniosła ręce złożone i spojrzała na obraz, oblany blaskiem wschodzącego miesiąca: Matko Boża łzawo się uśmiechała i znów okiem wskazywała na leżące na jej łonie krwią zlane i ranami okryte ciało swego syna. I znów nieszczęśliwa kobieta posłyszała szept tajemny w swej duszy: »Jędrzejowa, patrz na ciało syna mojego i ucz się cierpieć!« I znów powstała uspokojona i pokrzepiona, zmówiła litanią do Przemienienia Pańskiego i udała się na spoczynek.

Na drugi dzień, kiedy Ignaś jeszcze spał, wstała z tem mocnem postanowieniem, aby poruszyć wszelkie sprężyny do uratowania Ignasia. Ale gdzie i jak tutaj począć biednej kobiecie? Głowa jej się zawracała, gdy pomyślała o tem. Nareszcie zdecydowała się pójść najpierw do dworu szukać porady i pomocy. Tymczasem Ignaś się obudził. Jędrzejowa pieszczotami okryła wnuka, roznieciła ogień, zaklepała polewki i podała chłopcu do łóżeczka. Ignaś smacznie zajadał.

— Ale do amtmana nie pójdziemy dzisiaj; wszak nie, babulu? — rzekł, oddając łyżkę i miseczkę.

— Oj, nie, kruszyneczko kochana,



NA CMENTARZU.

nie pójdziemy — odrzekła Jędrzejowa i wzdrygnęła się boleśnie, bo sceny wczoraj przebyte stanęły jej żywo w pamięci.

Ubrała Ignasia w co najlepsze odzienie i poszła z nim do dworu.

Przejść przez wieś nie było jej łatwo: wybiegały z chałup baby, Jędrzejowa po sto razy opowiadać musiała swe wczorajsze wypadki. Przemagało zdanie, że los Ignasia jest przez wczorajszy protokół przypieczętowany, i patrzano ze współczuciem na biedną dziecinę. Pan Nieżywiecki był również o zajściach wczorajszych już poinformowany. Gdy mu zatem dano znać, że Jędrzejowa z wnukiem pragnie z nim się widzieć, przyjął przybyłych z wielką serdecznością. Jędrzejowa ze wszelkimi szczegółami opowiedzieć mu musiała swoję wczorajszą wizytę u amtmana, cała rodzina, guwernantka i bona z najżywszem zajęciem słuchali jej opowiadania. Serce im się ściskało na widok krwawej niedoli biednej wdowy. To też pan Nieżywiecki z serca całego byłby jej pomógł w jej fatalnem położeniu. Ale cóż potem?... Wstawienie się jego mogło tylko zaszkodzić sprawie. Więc jej szczerze powiedział, jak się rzeczy mają, i poradził jej, aby się z prośbą o pomoc udała do ks. proboszcza w Miedzianowie, jako posiadającego wiele zaufania i wpływu u rządu.

Ksiądz proboszcz miedzianowski wysłuchał jej prośbę, ale oświadczył w końcu biednej kobiecie, że i on nic pomódz nie może. Pocieszał ją przytem jak mógł, powtarzając: »Widocznie Bóg zsyła na Was to ciężkie doświadczenie. Przyjmijcież je w pokorze serca; kogo Pan Bóg kocha, temu krzyże Swe zsyła.«

Nieszczęśliwa Jędrzejowa opuściła ręce i niemo spojrzała przed siebie. W duszy zrobiło jej się nieskończenie smutno, uczucie bezmiernej niedoli, bezmiernego osamotnienia zagłuszyło w niej wszelkie inne myśli. Więc i tutaj żadnej nadziei, żadnej pomocy?

— O Matko Boska Bolesna, pomóż ty mnie, biednej sierocie, w mojem utrapieniu! — zawołała z płaczem i jakoby do modlitwy wzniosła ręce do nieba. I zdawało jej się w tej chwili, jakoby z chmur, przesuwających się nad nią, błysnął uśmiech łzawy Maryi i znowu posłyszała on szept tajemniczy w swej duszy: »Patrz na moje bóle Jędrzejowa i ucz się cierpieć.«

Robota jej dzień cały nie szła od ręki, rozmowa z ludźmi ją męczyła. Najchętniej byłaby się zamknęła w komorze, aby się do syta wypłakać. Na drugi dzień było jej nieco lżej, ale jakiś smutek cichy, rzewny pozostał odtąd jej nieodłącznym towarzyszem. Uczuła po raz pierwszy cały ciężar swego wdowieństwa. Gdyby to żył nieboszczyk Jędroch, onby może prędzej co wymyślił dla Ignasia. Ale jej wdowie, gdzie jej tam głowa do tego?

Tak upłynęło kilka tygodni. Jędrzejowa poczęła się nareszcie uspakajać, poczęła wierzyć, że o jej Ignasiu zapomniano, że może odstąpiono od zamiaru wydalenia go z kraju. Z tego nieba nadziei strąciło ją napowrót w piekło zwątpienia wezwanie, aby się niezwłocznie stawiła przed pana amtmana. Zostawiwszy Ignasia na opiece Błażejowej, Jędrzejowa sama się wybrała do rezydencyi pana amtmana, Niepruszyc. Pan amtman przyjął ją po ludzku. Spytawszy się o Ignasia, oświadczył jej, że podług zasięgniętych informacyi z aktów urzędu stanu cywilnego, spisanego przy ślubie Haźbietki, wynika niewątpliwie, że zmarły mąż tejże Jakób Ćmonik pochodził z miasta X., ***skiego powiatu, że na podanie władz pruskich jego metryka już nawet nadeszła, że zatem syn jego a wnuk Jędrzejowej, Ignacy Ćmonik jest niewątpliwie ruskim poddanym i podlega... wydaleniu.

Jędrzejowej pociemniało w oczach. Ze słów pana amtmana zrozumiała tylko tyle, że Ignaś ma być wydalony i znowu wybuchła niepohamowanym płaczem. Pan amtman dobre miał serce. Sam jedno jedyne dziecię, złotowłosego chłopczyka, o rumianej twarzyczce i niebieskich oczkach stracił przed kilku miesiącami. Na wspomnienie swojego Walthera łza wielka spłonęła mu po grubych wąsach; wiedział z doświadczenia,

co to jest boleść rodzicielska. Począł więc pocieszać Jędrzejową, wreszcie jej oświadczył, że sam napisze podanie do ministra, aby na odstąpienie od wygnania Ignasia zezwolił. Minister, było to coś, czego Jędrzejowa nie rozumiała. W jej zrozumieniu największym mocarzem był król, który mieszkał w Berlinie, a po nim szedł pan landrat, który mieszkał w powiecie, po tym zaś pan amtman, który mieszkał w Nieprusżycach. Ale musiało to być coś wielkiego, kiedy aż sam pan amtman chciał do niego pisać, i jeżeli kto, to on jej może pomódz. A że jej pomoże, skoro sam pan amtman do niego napisze, o tem także nie wątpiła. Więc ucałowała pana amtmana w rękę i odeszła uspokojona do domu.

Pan amtman przyrzeczenia dotrzymał. Napisał do Berlina obszerne przedstawienie, wyłuszczył w niem szczegółowo stan sprawy, dodał na końcu, że względy humanitarne przemawiają przeciwko wydaleniu dziecięcia, które jest sierotą i którego naturalną opiekunką jest babka Agnieszka Banasiak. Nadeszło pismo, ale odmowne. Władza wyższa oświadczyła, że od litery prawa odstąpić nie może.

Wezwał znowu Jędrzejową do siebie, powiedział, jak rzecz stoi, ale zarazem dodał, że wkrótce objeżdżać będzie pograniczne powiaty, by się naocznie przekonać o stanie wydalań, pan radzca rejencyjny B., że w dniu tym a tym będzie w mieście powiatowem i że Jędrzejowa najlepiej zrobi, gdy się z prośbą swoją uda do niego, może on jej jeszcze jako poradzi. Jędrzejowa, gdy przyszła do domu, termin przyjazdu tego pana kredą sobie napisała na drzwiach.

Dnia oznaczonego dospać nie mogła do rana. Wstała przed wschodem słońca, wyszła na palcach, by nie obudzić Ignasia. Ranek był zimny, mglisty, wiatr pomiatał resztkami zwiędłego liścia, Burek skulony leżał w swej lichej budzie, drżący od chłodu. Tak wyglądało na świecie w onym dniu, kiedy chowali Haźbietkę. Wspomnienie Haźbietki wprawiło ją w nastrój ducha smutny. Powróciła do izby, rozniecila ogień i usiadłszy przed kominem, w trzaskający płomień wlepiła wzrok osłupiały...

Ignaś się obudził. Jędrzejowa serdeczniejszemi niż zazwyczaj okryła go pieszczotami, nakarmiła, odziała i zaprowadziła do stelmaszki Błażejowej, która była jego chrzestną. Sama wydobyła najlepszą suknię ze skrzynki, zawiązała na głowę bladoróżową wełnianą chustkę szydełkowej roboty, którą kupiła na ostatnim jarmarku, i szosą raźno puściła się do miasta. Przybyła jeszcze dość wcześnie. Żyd Aron, faktor śliwinieckiego pana, nazwał jej hotel, w którym stanął pan radzca regencyjny. Poszła do hotelu. Tu jej powiedziano, że pan radzca dopiero co poszedł na landraturę. Jędrzejowa skierowała swe kroki ku landraturze. Biura urzędowe mieściły się na górnem piętrze. Z bijącem sercem weszła w długi, na pół ciemny kurytarz, stanęła pode drzwiami. Musiała odpocząć. Serce kołatało jej w piersi, klatka piersiowa stała jej się nagle za wąska; tchu w piersi dostać nie mogła, nogi pod nią dygotały, pot jej występował na czoło. Pana landrata raz tylko w życiu widziała, kiedy ksiądz biskup przyjechał do Miedzianowa. Był u księdza proboszcza na obiedzie w pióropuszu i w suto wygalowanym mundurze, ze szpadą u boku. Słuszny pan, a cały mienił się złotem. A teraz miała rozmawiać z panem, który nawet był starszym nad panem landratem. Jak ona, biedna wdowa, z nim się tylko rozmówi? Strach ją przejmował, gdy pomyślała o tem. W izbie ktoś chodził wielkimi krokami. Widocznie musiał być w wielkiem wzburzeniu, bo Jędrzejową dolatywały raz po raz gniewliwe wykrzykniki...

W Jędrzejowej serce zamierało, nie śmiała nacisnąć na klamkę. Aleć tu chodziło o Ignasia: zebrała odwagę, otworzyła drzwi i weszła do izby.

W izbie nie było ni pana landrata ni pana radzcy, tylko sam pan sekretarz; był rodem z okolicy Łasina, syn gbura polskiego Bartłomieja Szymonka. Oddany wcześnie do gimnazyum w Gru-

dziądzu i rzucony w otoczenie czysto niemieckie, wnet począł się wstydzić swego pochodzenia polskiego i z Szymonka zrobił się z Schimonneck. Oświadczył on Jędrzejowej, że prośba jej nie przyda się na nic, Ignasiowi jej nic już pomódz nie zdoła.

Wyszła Jędrzejowa a łzy jak groch spływały po jej zmarszczkami pooranej twarzy. Naraz wyszedł z przybyłej izby landrat z radzcą rejencyjnym.

Jędrzejowa zobaczywszy pana landrata z jakimś panem, w którym ani przez myśl jej nie przeszło, iżby to mógł być on starszy nad panem landratem. Postąpiła ku niemu, ucałowała mu rękę i łkając gorzko, poczęła go błagać.

— Najlepszy landracie, ratuj ty mnie, ach! ratuj w mojem umartwieniu!

Pan landrat był to człowiek już w leciech, słuszny i okazały. Po polsku rozumiał, przez przeciąg swej trzydziestoletniej służby zrósł się ze swoim powiatem, znał w nim niemal każdego człowieka. Z wydalaniami nie mógł wewnętrznie nigdy się pogodzić, gdzie więc mógł łagodził smutną dolę wygnańców, przedłużał im prawo pobytu. Sprawę Ignasia znał i byłby mu chętnie dopomógł. Ale był bezsilny... Mawiano, że już jest zbyt stary, że w nowe stósunki się nie wżyje, dodano mu niby to do pomocy młodego asesora, a od 1-go Kwietnia następującego roku miał być pensyonowany. Wzruszył tylko ramionami i oczami wskazał na stojącego obok siebie radzcę. Jędrzejowa zrozumiała ten znak niemy i zwróciła swe modły do niego. Radzca wypytawszy się o powód proźby, odpowiedział przecząco. Sprawa wydalenia Ignasia była więc przypieczętowaną.

Jędrzejowa została na korytarzu sama, z głową pochyloną. Długo trwało, zanim znowu zebrała i uporządkowała swe myśli. Wreszcie zrozumiała, że dla niej nie ma rady, ciężko wzdychając i łzy ocierając końcem fartucha, zeszła po schodach i wyszła na ulicę. Brzemię boleści tłoczyło ją ku ziemi, blask światła słonecznego raził ją w oczy, w głowie jej się kręciło, zataczała się jak pijana. Musiała po drodze kilka razy wypoczywać, zanim się dowlokła do domu. I odtąd jakaś choroba wewnętrzna poczęła ją toczyć. Do Ignasia przywięzywała się tem namiętniej, im bardziej zbliżał się czas, w którym go miała utracić. Ale zresztą dusza jej była omdlała, złamana. Jej dawna chęć do pracy ustąpiła miejsca jakiemuś apatycznemu uczuciu obojętności na wszystko, co ją otaczało, w chacie i naokół chaty widniały coraz wyraźniejsze ślady zaniedbania. Dla kogoż miała pracować, kiedy jej na stare lata odjąć chciano to, co ją jedynie jeszcze przy życiu trzymało, jej ubóstwianego Ignasia? Jej pojęcia się poplątały. W jej sercu budzić się poczęła jakaś głucha nienawiść do wszystkich ludzi, odtrącała nawet tych, którzy się do niej w najlepszej intencyi zbliżali ze słowami pociechy. Jej postać zewnętrzna była wiernym odblaskiem wewnętrznego stanu jej duszy. Jędrzejowa pochyliła się, pożółkła, włos jej posiwiał, oczy jej nabrały jakiegoś błędnego wyrazu, na licach jej pokazywały się jakieś niezdrowe rumieńce.

III.

Ubiegło jednakże jeszcze bardzo wiele czasu, zanim nad Ignasiem zaciągnęły się ostatnie oka sieci, oplatającej byt jego. Pan naczelnik uparł się przy swojem, na wszelkie przedstawienia władz pruskich miał jedyną odpowiedź, że Ignaś, jakkolwiek formalnie ruski poddany, należy tam, gdzie ma opiekę i utrzymanie i że dziecka na pewną zgubę do swego powiatu nie przyjmie. Rzecz oparła się wreszcie o sam Petersburg, na korespondencyach z tej i tamtej strony spłynęła zima i wiosna, zanim termin i miejsce wydania Ignasia wskutek kategorycznego nakazu wprost z Petersburga, przez pana naczelnika zostały naznaczone. Upierać się nie było co, Jędrzejowa z niemem jakiemś poddanem przyjęła wiadomość o mającem nastąpić wydaleniu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Mleko jako środek spożywczy dla dzieci.

Mlekiem zwierząt domowych karmiono już za bardzo dawnych czasów dzieci a w krajach, gdzie niema zwyczaju karmienia dzieci mlekiem, panują pomiędzy niemowlętami bardzo smutne stósunki. Do ostatnich krajów zaliczają się Chiny, gdzie tysiące niemowląt przenosi się na drugi świat, jedynie dla braku odpowiedniego pożywienia, głównie zaś dla tego, że nie hodują tam zwierząt domowych, więc mleka nie znają.

Mleko nie jest równe. Mleko krowie trawią dzieci większe bardzo dobrze, dla niemowląt zaś trzeba je odpowiednio przerabiać. Ile dzieci mleka spotrzebują, tego dowodzą następujące liczby. W Hamburgu z liczby 17 tysięcy niemowląt karmiono: 4000 mlekiem z piersi matki, 1000 mlekiem z piersi mamek, 5000 mlekiem krowiem i mlekiem naturalnem, 7000 dzieci wyłącznie mlekiem krowiem. Oprócz tego istnieje pełno najrozmaitszych środków żywności dla dzieci, na które zdobyła się najrozmaitsza konkurencya, a które w większej części są wprost szkodliwe dla młodocianego żołądka. W Niemczech rodzi się w roku przeciecięciowo 2 miliony niemowląt. Ile to z tych milionów umiera krótko po urodzeniu. Lekarze stwierdzają rozmaite powody śmierci, ale po największej części głównym powodem śmierci niemowlęcia był i jest nieodpowiedni pokarm; jestto przeciążanie żołądka środkami, które niby uchodzić mają za najstósowniejszy pokarm dla dzieci, a w rzeczywistości są dla nich środkiem zabójczym. Już naprzykład z mlekiem samem prowadzi się nieuczciwą spekulacyą. Rozmaite wielkie składy zachwalają mleko dla dzieci po 50 fen. litr. Niejeden sądzi, że za tak drogi pieniądz dostanie rzeczywiście mleka, które wolne jest od wszelkich pierwiastków, mogących dziecku w jakikolwiek bądź sposób szkodzić. Ale grubo się myli. Jestto tylko zuchwała, powiedzmy nawet bezczelna reklama. Mleko nie różni się wcale od zwykłego mleka, tylko nieuczciwy spekulant zrobił z niego coś lepszego przez to, że na nie położył tak wysoką cenę, aby łowić łatwowiernych na wędkę.

Drugim środkiem spożywczym, który szkodzi zdrowiu dzieci, są tak nazwane mąki i kaszki dla dzieci. Jedni lekarze uznają podobną żywność za więcej, drudzy za mniej szkodliwą zdrowiu, wszyscy są jednak zapatrywania, że mąka dla dzieci jest zdrowiu szkodliwą, bo zawiera mączkę w sobie, a mączki młodociany żołądek niemowlęcia strawić niezdolen.

Najlepszy pokarm dla młodocianego żołądka jest mleko matczyne i nic go w równej mierze zastąpić niezdolne. U rodzin bogatszych rozpowszechnił się teraz zwyczaj przypuszczania mamek do karmienia niemowląt. Nie jest to zwyczaj godny pochwały. Niejednokrotnie bowiem życie jednej istoty bywa okupionem śmiercią istoty drugiej.

Sztucznego karmienia niemowląt należy o ile możności unikać. Statystyka wykazała, że na 1000 dzieci zmarło w Niemczech w pierwszym roku wskutek sztucznego pożywienia blizko 300. W krajach bogatszych, jak na przykład w Anglii umarło tylko 50 dzieci na 1000, za to w biedniejszych, jak naprzykład w Bawaryi, przeszło 300 na 1000. Ta śmiertelność wypływa właśnie z powodu nieodpowiedniego karmienia dzieci. W Niemczech umarło dzieci, karmionych mlekiem 70 na 1000, dzieci zaś, karmionych sztucznie, umarło 500 w pierwszym roku życia.

Pokarm matki zastąpić można najlepiej jeszcze mlekiem od krowy, które wolne jest od wszelkich niezdrowych pierwiastków. Niejeden podjąłby się sprzedaży mleka dobrego dla dzieci, ale obawia się, czy mu się to opłaci. Matki za bardzo jeszcze wierzą rozmaitym reklamom, zachwalającym mąki dla dzieci i inną sztuczną dla niemowląt żywność. Druga wątpliwość takiego kupca zasadzałaby się na tem, czyby i cena mleka niejednego nie odstraszała. Litr przerobionego dla dzieci mleka kosztowałby 30—40 fen. Biedna ludność wcaleby mleka mleka tak drogiego nie mogła nabywać. 15—20 fen. za litr byłoby już dla niej za wiele. Tu mogłyby pomódz rozmaite zakłady dobroczynne, któreby wydawały biedniejszym osobom marki dla tańszego zakupu mleka. Takie zakłady istnieją już po rozmaitych wielkich miastach i wywierają bardzo zbawienny wpływ. Toć sprawa pożywienia niemowląt jest jedną z spraw, do których należy przywięzywać największą wagę. Od pożywienia, od wychowania cielesnego za młodych lat zależy rozwój cielesny dziecka w przyszłości a również i duchowy.

Turek czy nie Turek?

Jak wiadomo, król polski Jan Sobieski sławne wojny staczał z Turkami. Otóż między innemi wypadło mu pod Żurawno, miasteczko leżące nad Dniestrem.

Jezu miłosierny!... Co tam tej dziczy i tej niewiary nazbierało się!... nikt chyba nie zliczył! Jak cała dolina nad Dniestrem i Świcą, tak same namioty, ludzie, konie, chorągwie tureckie!...

Król Sobieski przyszedłszy tam, przypatrzywszy się uważnie, przeżegnał się i w po

wietrzu rękę krzyż zrobił, podumał trochę, ale się uśmiechnął za chwilę i nie stracił nadziei...

Ha! wielkiego ducha to był człowiek. Inny na jego miejscu nawet by się nie zabierał do wojowania, bo miał mało wojska w porównaniu do tamtej chmury.

20-go Sierpnia 1676 roku była pierwsza bitwa, a nareszcie Turcy uciekli do swego obozu. 8-go września druga była sprawa, ale znów nasi wytrzepali tureckich żołnierzy, a król tak się rozochocił, że puścił się za uciekającymi i wpław przez Dniestr, potem przez Świcę poszedł z wojskiem, aby jeszcze dokuczyć lepiej uciekającym. Od południa do nocy to trwało. Polskich żołnierzy padło kilkuset, tureckich blisko trzy tysiące.

Na drugi dzień spoczywali nasi, a król Sobieski ze smutkiem dowiedział się, że paszy dla koni braknie. Trudno było dostać, bo tak Turcy naokoło nas obstąpili, że i mysz by się nie dostała do nas, jak mówił żartobliwie pan Polanowski, dworzanin króla Jegomości. Król rozmyślał, jakby to przez te warty tureckie wyprawić kogo do Lwowa, dać znać do hetmana Litewskiego o sprawie i dowiedzieć się co o żonie, kochanej Marysience, za którą sobie król bardzo tęsknił, nie wiedząc, co się dzieje i czy zdrowa.

Gdy tak król duma, mijają dwa dni, aż naraz wieczorem zjawia się w naszym obozie Turek. Idzie śmiało, pyta się o króla i sunie jakby do znajomego.

Turek czy nie Turek? myśli sobie straż nasza i wojsko patrzące z zadziwieniem na tego człowieka.

— Toż nie poznasz psiawiary tureckiej? — mówi jeden — dość popatrzeć na te oczy, nos, na te lica czarne a szkaradne, by poznać, że to nie Polak.

— Ale mnie się zdaje, że to nasz, ale przebrany — odpowiada drugi.

Wtem wychodzi z namiotu król, usłyszał jedno słowo z ust Turka i dalejże z radością do niego, mało go nie ucałował.

— Drążewski! — krzyknął Polanowski, stojący obok króla — a bodajby cię z figlami! Jakżeś się tak mógł całkiem za Turka przebrać, że i twarz masz jak oni i lica czarne i oczy jakieś kocie... bodaj cię Bóg kocha!...

Gdy się więcej naszych dowiedziało o tym Turku, gdy usłyszeli, że prosto od Lwowa idzie, że mu nigdzie najmniejszej trudności Turcy nie robili, bo byli pewni, że ich rodak, dalejże dowiadywać co przyniósł.

Drążewski kazał rozpruć czapkę, zdjętą z głowy — kożuszek zrzucony z ramion, a nawet w sukniach pokazał miejsce do prucia. Wszędzie miał pozaszywane ważne pisma, wszędzie miał ukryte listy, to od królowej, to od hetmana, to od innych ważnych osób, tak, że ogromnie król się temi wiadomościami cieszył i nie wiedział, jak ma Drążewskiego wynagrodzić.

Poczciwe to chłopczysko, wypocząwszy trzy dni — zabrawszy znów listy od króla, wybrał się w drogę do Lwowa.

Przypatrywaliśmy się ciekawie, gdy szedł przez obóz i warty tureckie, ani na myśl Turkom nie przyszło go wstrzymać, albo o co pytać. Tak był podobny do nich, iż przysięgliby byli, że swój.

Raz znów przyszedł on do obozu a był w bardzo dobrym humorze. Siadł po turecku na dywan w namiocie króla, jak zaczął ręce wznosić, a turecki pacierz odmawiać, król aż się kładł od śmiechu.

— Gdzieś ty się gałganie tego nauczył? — pytał go.

— Toż przecie w niewoli byłem u tych panów lat kilka — odpowiedział śmiało. Umyślniem się uczył tego, aby ich kiedyś na dudków wystrychnąć.

Księdza kapelana króla Jegomości, to zwiódł nawet figlarz, gdy zaczął Turka udawać, a choć bawił krola i nas, przecież wiele dobrego figlami zrobił, bo nosił listy tam i napowrót.

Bitwa pod Żurawnem skończyła się pokojem dla nas korzystnym.

Powaga i żartobliwość.

Strzeż się, abyś o tem, co dziecięciu twemu rozkażesz lub zakażesz, nie żartował. Skoro coś obrócisz w śmiech, jużeś stracił panowanie. Baw się z twojem dzieckiem, żartuj z niem, pieść je, ale na swojem miejscu. Lecz gdy w jakiej sprawie żądasz od dziecka posłuszeństwa, bądź stałym i poważnym. Nigdy nie chciej dostąpić posłuszeństwa prośbą lub schlebianiem. Dziecię próbuje w tysiącoraki sposób złamać twoją wolę. Próby te zazwyczaj już są znakiem okazanej miękkości. Jeżeli się zaś tylko raz dasz omotać, już po twojej powadze i panowaniu. Największy to błąd, gdy troskliwi i rozmiłowani w swojem dziecku rodzice mniemają, iż nie mogą także być dla niego surowi, nie mogą mu powiedzieć ostrego słowa. Gdy atoli raz, po drugi i po trzeci raz w swoich rozkazach zostaniesz niezmiennie stałym, tedy już na zawsze wygrana po twojej stronie, powaga rodzicielska jest ochronioną. Miłość wzajemna na takiej stateczności i stałości nic a nic nie ucierpi, daleko prędzej ucierpi, gdy jesteś przeciw dziecięciu twemu zmiennym, albo ustawicznie używasz kija.

Praktyczne rady.

— **Lekarstwa na odziębienie.** Jedną z najprzykrzejszych dolegliwości zimowych są odziębienia: szpecą one ręce, sprawiają nieznośne swędzenie, a w razie zaniedbania mogą wywołać psucie się naskórka. Kobiety i dzieci najczęściej im podlegają, głównie więc dla nich podajemy tu kilka środków ochronnych i sposobów leczenia. Jak tylko pokażą się pierwsze oznaki złego w postaci lekkiego nabrzmienia i zaczerwienienia rąk i nóg, trzeba rano i wieczór moczyć je w ciepłym odwarze liści orzechowych, albo w wodzie z taniną. Potem naciera się je z spirytusem kamforowym, na noc zaś owija się liśćmi orzechowemi albo watą. Dobrze jest przykładać maść z waseliny (20 gr.) i niedokwasu białego cynku (4 gr.) Bardzo też skuteczny jest następujący dekokt: bierze się pieprzu tureckiego, albo kajenny, miesza się go z mocnym spirytusem i moczy się w tem ręce. Osoby skłonne do odziębień powinny unikać wody bardzo zimnej lub bardzo gorącej, nie zbliżać zziębniętych rąk do pieca lub ognia i wychodząc kłaść zawsze rękawiczki.

— **Użytek z kości.** Liściaste rośliny, stanowią jednę z największych ozdób mieszkania; do piękności ich, wzrostu i rozwoju przyczynia się wiele następujący środek: Kości pozostałe od użytku kuchennego trzeba spalić, utłuc na proszek i otrzymany ztąd miał węglowy przechowywać w suchem miejscu. Na wiosnę miesza się go z ziemią, w którą przesadza się rośliny, a jeżeli ich się nie przesadza, to mimo to trzeba ostróżnie odgarnąć ziemię w doniczkach, żeby nie uszkodzić korzeni, nasypać proszku i podlać. Wszelkie rośliny liściaste, jak fikusy, filodendrony i t. d. dostają wkrótce potem nowych liści, które odznaczają się grubością i wielkością.

— **Sposób na udławienie.** Jeżeli jakie obce ciało, jakoto ość od ryby, szpilka, kawałek kości i t. p. dostanie się do gardła, wywołując krztuszenie, trzeba zastósować następujący środek: Splątany moteczek cienkich nici macza się w miodzie lub gęstym syropie i, przytwierdziwszy doń mocną i długą nitkę, daje się go połknąć osobie dławiącej się. Skoro moteczek dostanie się do przewodu pokarmowego, wyciąga się go ostróżnie zapomocą nitki, a z nim razem i obce ciało, które się tam dostało przypadkiem.

Rozmaitości.

* **Uczeni twierdzą,** że ludzie, którzy się żywią jarzynami na miejscu mięsa, wychodzą na tem daleko korzystniej. Ludy, które się żywią roślinami, są bezsprzecznie wśród wszystkich ludzi najpiękniejsze, najsilniejsze, najmniej narażone na choroby i złe namiętności, a tem samem żyją ze wszystkich najdłużej. Większa część wieśniaków, którzy we wszystkich krajach stanowią najzdrowszą część ludności, mało jada mięsa. Murzyni w koloniach, tak ciężko pracujący, żyją tylko mlekiem, kartoflami i kukurydzą. Bramini indyjscy, którzy często dożyją stu lat, używają pożywienia wyłącznie roślinnego. Nam metoda żywienia, z której wykluczone jest zupełnie mięso, nadaje mnóstwo przymiotów a nie pozbawia nas żadnego z tych, które możemy posiadać. Dla tego należy ją zalecać młodym ludziom, którym zapewni piękność ciała w połączeniu ze spokojem umysłu. Ta metoda przedłuża młodość a zatem i życie całe.

* **Największym spichrzem zbożowym** w świecie jest Ameryka a największym spichrzem w Ameryce jest Dakota, zwana złotym północno - zachodem, obejmująca całe niezmierne przestrzenie na wschód od rzeki Missuri aż do oceanu Spokojnego. Aby dać pojęcie o produkcyi zbożowej tej krainy, dość powiedzieć, że w 1883 r. wynosiła przeszło 20 milionów buszlów pszenicy (buszel 30 kilogr.) Łany zbożowe ciągną się tu prawie bez przerwy na nieobjętych okiem obszarach i obecnie obejmują 75,000 włók złotym pokrytych kłosem. Od początku Sierpnia na całem terytoryum Dakoty nie słychać nic prócz warkotu i chrzęstu kosiarek, a ktokolwiek był świ dkiem tej kosynierki, nigdy jej nie zapomni. Jak nieprzejrzane morze falują złote pola pszeniczne, a kosiarki poruszają się ciężko jak bateryе działowe. Każdą z maszyn ciągną trzy muły albo konie, ruchami każdej kieruje konny nadzorca. Każda ściele trupem kłosy na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, wiąże je w snopy jak jeńców, zgarnia je w mendle jak rannych. Maszyna młóci ziarno i przewiewa, podnosi je do śpichrzu, spuszcza na okręt, ładuje na wagon i odwozi do Chicago, tego największego rynku zbożowego w świecie. Nie można się też dziwić, że zboże tak tanie. Kapitaliści jednak, którzy mają po największej części te grunta w posiadaniu, tak ziemię wyzyskują, że takowa w niedalekim zapewnie czasie zupełnie wyjałowieje i zamieni się w step pusty.

* **Kiedy została wynaleziona pierwsza maszyna do szycia?** Maszyna do szycia uważana jest za wynalazek amerykański, lecz pierwszą maszynę do szycia zbudował w roku 1755 krawiec niemiecki, Karol Wiesenthal, i zażądał na nią patentu. Brakło mu jednak pieniędzy na wyzyskanie swego wynalazku, który niebawem poszedł w zapomnienie. W 60 lat później mechanik angielski, Duncan, wpadł na myśl posługiwania się maszyną przy szyciu, ale narzędzie jego okazało się zupełnie niepraktycznem. Z kolei Francuz Timonie, krawiec, zażądał patentu na maszynę do szycia w roku 1825; ale dopiero w roku 1841 wezwano go do Paryża i polecono mu szyć mundury dla wojska. Maszyna okazała się bardzo praktyczną, zawiązało się więc towarzystwo dla jej rozpowszechnienia. Na wieść o tem, krawcy paryscy, mniemając, że byt ich jest zagrożony wpadli do warsztatów Timoniera i wszystko zniszczyli; on sam musiał uciekać z Paryża, zrujnowany do szczętu. Siedem lat żył

wśród niedostatku, zanim znalazł wspólnika, który dostarczył środków na zbudowanie nowej maszyny; ale przyszła rewolucya r. 1848 i Timonie znów został bez grosza. Nie zrażony tyloma niepowodzeniami, postanowił wysłać swój wynalazek na wystawę do Londynu, pewny, że tym razem odniesie zasłużony tryumf. Nieszczęście ścigało go jednak na każdym kroku: maszyna przyszła za późno i wskutek tego nie mogła być pomieszczoną na wystawie. Ten cios złamał biednego Timoniera: w kika lat później umarł w przytułku. Dopiero się w Stanach Zjednoczonych świetny jego pomysł urzeczywistnił. Eliasz Howe, syn młynarza z Massachusetts, ur. w r. 1819, robotnik w przędzalni bawełny, usłyszał o maszynie do szycia i po wielu próbach zbudował w roku 1844 przyrząd odpowiadający wszelkim wymaganiom. I jemu jednak trudno było znaleść zamożnych spólników. W r. 1850 wyjechał do Anglii szukać szczęścia, a tymczasem Singer, według jego pomysłu, zbudował maszynę, która od razu odniosła wielki tryumf. Howe, po powrocie, musiał sądownie poszukiwać praw swoich; dostarczono mu środków na założenie fabryki. Umarł w roku 1867, jako zamożny człowiek, a Singer doszedł do olbrzymiej fortuny, która dla córek jego zdołała nęciła na mężów samych książąt.

* **Działanie alkoholu na zwierzęta.** Pewien amerykanin opowiada, że był raz świadkiem, jak spojono 300 świń, domięszawszy im do karmy nalewki spirytusowej. Zachowanie się ich po pijanemu było zupełnie podobne do ludzkiego, gdyż nosiło na sobie charakter pijanej czułości, a chwilami dochodziły do ostatniego stopnia upojenia. Swinie przyciskały się do siebie i chrząkały czule. Zataczanie i chwianie się na nogach, oraz postawa ich świadczyły, że alkohol na świnie i na ludzi jednaki wpływ wywiera, że pod jego wpływem jedne i drudzy stoją na tem samem stanowisku zwierzęcości.

ŻARTY.

To wpadł.

On: Kochana Jadwisiu, spełniłem twe życzenie i kupiłem ci suknią; ale prawdą a Bogiem, suknia powyższa wcale ci nie do twarzy.

Ona: Jeśli tak jest, kochany Bolesiu, to mi kupisz inną, nieprawdaż?

Skutki ogłoszenia.

Pani X. daje do pisma ogłoszenie tej treści: „Sklep do sprzedania z powodu zamążpójścia właścicielki na dogodnych warunkach.“

Nazajutrz zjawia się młody jegomość.

— Czy pani jest właścicielką sklepu?

— Tak panie.

— Bardzo mi miło. Wszak pani dała ogłoszenie do pisma N.?

— Tak panie. Pan zapewne życzy sobie kupić sklep?

— Nie pani.

— Więc nie rozumiem, dla czego.

— Zaraz pani wytłómaczę. Ja, proszę pani, chcę się ożenić...

— ?...

Okropna rzecz.

Sknera: Panie doktorze, powiedz mi Pan otwarcie, jak długo jeszcze pożyję.

Doktór: Podług ludzkiego obliczenia co najwyżej ośm dni.

Sknera: To byłoby okropnem, za sześć tygodni przypada dopiero Nowy Rok, a ja zapłaciłem dzierżawę aż do tego czasu.

W kłopocie.

Profesor: Cóż ja mam począć z tylu pieniędzmi, które odziedziczyłem.

Kupiec: Co począć? Ot wypożyczyć za wysokim procentem, albo dać je do banku na procent.

Profesor: Co? na procent oddać? Toć to byłoby ich w ten sposób jeszcze więcej?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.